

# Przyroda, sztuka i disco polo

Niewielka, pomalowana kolorowo topolowa deska jest wyceniona na miliony dolarów, ludzie są gotowi popełniać dla niej zbrodnie, oddawać jej niemal religijną cześć. Deska jest strzeżona jak najcenniejszy skarb, a jej strata byłaby uznana za katastrofę dla cywilizacji zachodniej. Ekonomiści, specjaliści od ubezpieczeń, socjologowie i kulturoznawcy, wreszcie szeroki ogół społeczeństwa, nie widzą w tym niczego dziwnego. Ci sami ludzie domagają się jednak szczegółowych uzasadnień i trudno ich przekonać, że kilkusetletni dąb to coś więcej niż kwota, którą można uzyskać ze zrobionych z niego desek. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z portretem Mona Lisy, dziełem Leonarda da Vinci, w drugim z dziełem Natury. Nasza wycena wartości deski opiera się na estetyce i poczuciu więzi cywilizacyjnej. Nikt nie nazwie krytyków sztuki i konserwatorów oszołomami czy kultur-terrorystami, ponieważ domagają się ochrony i wysokiej wyceny dzieł sztuki. Oparty na emocjach i tradycji osąd jest społecznie akceptowany.



Drzewa, To jest Dzieło Sztuki, a poniżej – zniszczone dzieło sztuki – według niektórych to też sztuka, ale Postmodernistyczna. Fot. Jan Marcin Węśławski, fotomontaż Stanisław Węśławski

Dziełom Natury odmawia się jednak prawa do oceny opartej na emocjach i estetyce. obrońcy przyrody muszą wykazać wartość swych obiektów w twardych ekonomicznych kryteriach, jakimi są rynkowe ceny produktów biologicznie czynnych, biotechnologicznych czy spożywczych. Jeden z twórców pojęcia różnorodności biologicznej, wielki Edward O. Wilson, starając się przekonać do ochrony przyrody świat biznesu, publikował szczegółowe wyliczenia, ile pieniędzy można uzyskać ze sprzedaży owoców czy orzechów z drzew rosnących w naturalnej tropikalnej dżungli. Podobne wyliczenia podawał dla oszacowania wartości tropikalnych lasów dla medycyny – jak cenne są nowe lecznicze substancje, które można uzyskać z hektara dżungli. Ta racjonalna i przygotowana w dobrej wierze informacja, szybko została obrócona w oręż przeciwko ochronie bioróżnorodności.

Ekonomiści i biznesmeni obliczyli, że znacznie bardziej opłaca się wykarczować dżunglę i założyć na jej miejscu plantację – monokulturę, a tańsze niż wysyłanie ekspedycji na poszukiwania nowych, naturalnych farmaceutyków, jest inwestowanie w intensywne prace laboratoryjne, które dadzą szybki efekt. Podobnym efektem skończyło się w latach 70. badanie ekonomistów, które miało wykazać, co zrobić z ginącą populacją wielkich wielorybów wobec presji bezrobocia grożącego wielorybnikom. Matematyk Collin Clark udowodnił racjonalnie, że najlepsza strategia ekonomiczna to maksymalnie zintensyfikować połowy, a po zabiciu ostatniego wieloryba zainwestować zarobione pieniądze w inny rodzaj działalności. Próba porozumienia pomiędzy światem obrońców przyrody i światem biznesu skończyła się niepowodzeniem wszędzie tam, gdzie przyrodniczy starali się dostosować do systemu wartości „przeciwnika”.

Paradoksalnie, świat kultury i sztuki nigdy nie musiał iść na tego rodzaju kompromisy. Jeżeli krytyk sztuki stwierdzi, że gwóźdź wbity w ziemiak jest objawieniem sztuki postmodernistycznej, takie dzieło znajdzie się pod ochroną, będzie miało miejsce w narodowym muzeum i osiągnie wielką wartość monetarną, a ekonomiści i świat biznesu będą zabiegali o jego posiadanie. Uważam, iż przyczyną tej dysproporcji w reakcjach na opinie przyrodników i krytyków sztuki było uznanie, że uczucia (w tym poczucie estetyki, piękna, sentyment) są jednym z najważniejszych czynników kształtujących decyzje ludzkie. W demokratycznym państwie, większość polityki opiera się de facto na uczuciach – coś nam się podoba, do czegoś mamy sentyment, więc na to głosujemy i tak kształtujemy nasze życie. Uczucia są docenianym i ważnym elementem analiz rynkowych, gospodarczych i politycznych. Nikt nie musi uzasadniać, za ile można sprzedać nasze przywiązanie

do symboli narodowych. obrońcom przyrody odmawia się jednak prawa do posługiwania się argumentami z dziedziny uczuć czy estetyki. Gdy profesor-przyrodnik powie: „Ten dąb jest piękny i ma prawo tu rosnąć” – nie przekona przedsiębiorcy drzewnego ani drogowca. Gdy krytyk powie: „To jest dzieło sztuki i trzeba mu zrobić miejsce”, dalsze uzasadnienia nie są wymagane. Liczy się ranga krytyka, nie liczy się profesjonalna ocena przyrodnika.

Dlaczego odmawiamy sobie (i innym) prawa do uznania wagi uczuć wobec Przyrody? Może to sprawa przebiegu naszej ewolucji? Wobec powolnego rozwoju technologii w trakcie ostatnich kilku tysięcy lat, takie wytwory rąk ludzkich wprowadziły nas w zachwyt nad zręcznością i pomysłowością bliźniego. Wykonanie kamiennej siekierki trwało miesiące i nie każdemu się udawało, tymczasem dobra Natury były dane w nadmiarze. Dziś technologia stała się tania, i jesteśmy zasypywani produktami uznawanymi za sztukę, a w deficycie są dobra Natury. Uważam, że społeczeństwo współczesne jest już na takim etapie rozwoju, że wartości estetyczne i emocjonalne wobec dóbr Natury mogą być najważniejszymi argumentami w dyskursie publicznym.

Dobrym przykładem jest trwająca od wielu lat publiczna dyskusja nad doroczną masakrą grindwali (pilot whales) na Wyspach Owczych. Co roku okrutną śmiercią ginie tam około 1000 tych waleni, a światowa opinia publiczna jednoznacznie potępia ten proceder. Argumenty ekonomiczne, gospodarcze i przyrodnicze nie zatrzymają tego „polowania”. Populacja grindwali jest bardzo duża (szacowana na około 700 tysięcy sztuk) i ubytek 1000 sztuk w żadnym stopniu jej nie zagraża, mięso jest wykorzystane, a miejscowi mają zajęcie i zarobek. Wszystko w porządku? Skądże, to odrażające przedstawienie zasługuje na potępienie z powodów moralnych i estetycznych. Podobnie jak sprzedaż psiego smalcu w Polsce – nie zagraża populacji psów, daje zarobek ludziom, tworzy więzi ekonomiczne i aktywizację zawodową w obszarach dotkniętych strukturalnym bezrobociem, ale jest estetycznie i moralnie nie do zaakceptowania.



Ryf Mew. Ostatnie dzikie miejsce w Polsce? Okresowo wynurzające się piaszczyste wysepki na środku Zatoki Puckiej. Fot. Jan Marcin Węslawski

Kiedy następnym razem ktoś zaapeluje do nas „proszę o racjonalne argumenty, dlaczego mamy chronić ten obszar? Ile jest warte piętnaście cebulek miodokwiatu krzyżowego i dwa gniazda dzięcioła białogrzbietego?”, nie starajmy się wyliczyć, ile pieniędzy wygeneruje oprowadzanie turystów, którzy zechcą sfotografować rzadkie kwiaty czy ptaki, bo na pewno będzie to mniej niż przyniesie budowa hotelu w tym miejscu. Użyjmy argumentu, że jest to jedno z ostatnich takich miejsc w Polsce i musimy je chronić tak samo mocno, jak chronimy jedyny obraz Leonarda w Sukiennicach, bo to część naszego dziedzictwa narodowego.

Czy to oznacza, że wszystko, co usłyszymy od obrońców Przyrody, należy traktować z jednakową uwagą? Oczywiście nie. Tak samo jak w promocji sztuki, polityki czy innych dziedzin życia, trzeba wypracować system oddzielania spraw ważnych od nieistotnych i autentyków od podróbek. Nie jest to prosta sprawa, skoro w dziedzinie sztuki i nauki ogół społeczeństwa skazany jest na dyktat specjalistów, którzy zawsze mogą odesłać wątpiących do kąta argumentem „jestem ekspertem w tej dziedzinie”. W ten sposób pisuar (fontanna) Marcela Duchampa, stał się na wystawie dziełem sztuki – bo artysta i krytycy powiedzieli, że tak właśnie jest.

Znaczna część sztuki nowoczesnej wywodzi się od artystów, którzy do swoich syntetycznych, abstrakcyjnych dzieł doszli przez mistrzostwo w rzemiośle, przez skracanie i uogólnianie głęboko przemyślanych prac. Jest wielka różnica pomiędzy Mondrianem, który swoje geometryczne figury wywiódł ze studiów kształtów mistrzowsko rysowanych drzew, a współczesnym cwaniakiem, który

nie mając pojęcia o warsztacie, nakleja na obraz pozornie podobnie wyglądające prostokąty i nazywa to sztuką conceptualną czy postmodernistyczną. Tendencja do populizmu może mieć formę bardziej subtelnej (adresowana do odbiorcy z aspiracjami sztuka postmodernistyczna) lub bardziej prymitywną (adresowana do masowego odbiorcy muzyka disco polo). Disco polo w ochronie Przyrody to odwoływanie się do sentymentalnych stereotypów, bez odniesienia do przyrodniczych realiów. To nadużywanie określeń i haseł nie mających pokrycia w rzeczywistości. Taka marketingowa technika działa na krótką metę i pozwala wykorzystać nieprzygotowanego odbiorcę, ale w efekcie może spowodować więcej szkody, przez zniechęcenie bardziej wymagających i utrwalenie przekonania, że w debacie publicznej „wszyscy kłamią”.

Jest różnica pomiędzy ochroną ostatniej w kraju kolonii susła perełkowanego, która ma zostać zabetonowana przez nowe osiedle, a pomysłem na odtworzenie gatunku, którego nie ma u nas od dawna, zaś jego siedlisko nie istnieje. Tak więc np. jeżeli chcemy ponownie sprowadzić do Polski dropia – przekonajmy do tego pomysłu społeczeństwo, które ma za to zapłacić. Przekonajmy nie używając socjotechniki, lecz asertywnego sposobu komunikacji. „Uważam, że to piękny ptak, związany z naszą tradycją i kulturą, kiedyś był w Polsce i teraz chcemy odtworzyć jego populację. Wprawdzie nie ma już w Polsce stepów, ale sprowadzimy kilkadziesiąt ptaków z południowej Europy, gdzie jego populacja nie jest zagrożona”. Nie można – nie wypada, bo to w złym guście, sformułować tego samego zadania jako „Pozwólmy pisklętom dropia odzyskać ich łąkę. Wpłać na konto fundacji, która zbuduje domek dla dropia, bez ciebie ten rzadki ptak zginie na zawsze. Bez dropia naszym łąkom grozi zagłada”. Pierwszy przekaz jest prostoliniowy, a jego argumentacja wystarczająca – odwołuje się do wspólnego nam poczucia piękna i zainteresowania przyrodą. Drugi przekaz to czysty marketing, odwołuje się do sentymentów, wprowadza w błąd sugerując, że na dropia czeka jego siedlisko, że ptak jest zagrożonym gatunkiem, a jego obecność stanowi warunek jakości środowiska. Co z tego, że w obydwu wypadkach autorami przekazu powodowały szlachetne intencje, skoro to sposób przekazu, a nie jego cel odróżnia dobre od złego?

Różnorodność biologiczna stała się szybko hasłem politycznym i medialnym, zanim jeszcze naukowcy uporali się ze zrozumieniem i opisaniem tego zjawiska. Administracja przyjmuje zobowiązania „powstrzymania spadku bioróżnorodności”, strasząc opornych, że utrata różnorodności biologicznej oznacza spadek produktywności ekosystemów i katastrofę dla ludzi. Tymczasem, od blisko dwudziestu lat trwają naukowe badania nad znalezieniem związku między bioróżnorodnością i produktywnością ekosystemów, a ich wyniki są bardzo niejednoznaczne. Przykłady oczekiwanego związku wprost znaleziono tylko w kulturach mikroorganizmów i eksperymentalnych uprawach preriowych.

Przykładów odwrotnych jest mnóstwo – najbardziej produktywne dla człowieka naturalne obszary są ubogie gatunkowo (np. estuaria), są to też obszary niezwykle stabilne – bo selekcja pozostawiła tam tylko najbardziej odporne gatunki. Oczywistym przykładem jest rolnictwo – to monokultury żywią ludzkość. Nie znaczy to, że mamy zlekceważyć problem spadku różnorodności i wymierania gatunków. Gatunki rzeczywiście wymierają, dramatyczne przykłady mamy z wysp oceanicznych i lasów tropikalnych. Utrata każdego gatunku jest bezpowrotną utratą unikalnej konstrukcji genetycznej, jest też utratą Dzieła Sztuki Natury. Prawdopodobnie możemy się obejść bez 90% obecnych dziś gatunków (w czasie geologicznych wielkich wymierań taki był poziom strat fauny). Modele matematyczne i technologia potrafią przewidzieć i wyliczyć, jaki może być najmniej kosztowny a przynoszący największe korzyści układ gatunków w każdym ekosystemie. Czy jest się więc czym przejmować?

Posłużę się znów analogią ze sztuką – skoro utrzymanie muzeów i artystów sporo kosztuje (budżety państwa i sponsorów), to może obejdziemy się bez 10, 20, a nawet 90% dzieł sztuki? Zostawmy Leonardo i Van Gogha, a resztę możemy sobie darować. Dla bardzo wielu osób naprawdę nie będzie różnicy. Podobnie jak niewiele osób rozumie, że czym innym jest spacer w uprawianym lesie rębny,

a czym innym w naturalnym, podmokłym lesie mieszanym (Bory Tucholskie i Puszcza Białowieska). Wrażliwość na piękno, sztukę i różnorodność biologiczną nie jest nam niezbędna do przetrwania, w dodatku nie każdy się z nią rodzi i trzeba się jej nauczyć. To ona jednak kształtuje ostatecznie jakość naszego życia i to właśnie o jakość a nie o ilość powinniśmy zabiegać. Do ochrony przyrody i jej docenienia nie warto przekonywać polityków. Oni zmieniają zdanie pod wpływem aktualnego sondażu. Natomiast edukacja – pokazanie młodzieży piękna i wartości Przyrody, zbuduje chęć poszukiwania jakości życia, a w efekcie trwałą, społeczną akceptację dla zachowania tego, co jeszcze możemy ochronić.

Czy jednak jest się czym przejmować, skoro ochrona Przyrody uchodzi w Polsce za dziedzinę niszową, którą interesuje niewiele osób i ma znikome znaczenie społeczne? Może wobec ignorancji i obojętności społeczeństwa, trzeba sięgać po środki marketingowe? Uważam, że nie, a utwierdza mnie w tym Edward O. Wilson, który napisał, że w USA więcej osób odwiedza parki narodowe niż uczęszcza na wszystkie imprezy sportowe, z koszykówką i futbolem amerykańskim włącznie. To daje obraz, jaki potencjał tkwi w społecznej ciekawości wobec Przyrody (zwanej przez niego biofilia). W Polsce dwie atrakcje przyrodnicze wybrzeża – fokarium na Helu i morskie Akwarium Gdyńskie – co roku przyciągają razem około 800 tysięcy osób (!) – to pokazuje, że potencjał społeczny biofilii jest obecny także w naszym kraju.

Prof. Jan Marcin Węsławski

Instytut Oceanologii PAN w Sopocie